

Imbirowa
mitość

INKA
JABŁOŃSKA

*Imbirowa
mitość*

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Anna Sowińska

Zdjęcia na pierwszej stronie okładki:

© Loriklaszlo/Depositphotos; © RoyStudio/Depositphotos

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2314-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: AMW • Wrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Nie wszystko złoto, co ciężkie

Szafa runęła na podłogę z potężnym hukiem, a w powietrze wzbily się tumany kurzu. Dla jeszcze lepszego efektu Lucy upuściła kubek z kawą i ciszę – która nastąpiła po huku – przeszył brzęk. Krople gorącego napoju na prawej stopie i brązowe plamy na dżinsach należało na razie zignorować. Lucy niepewnie podeszła do szafy, jak gdyby spodziewała się z jej strony kolejnej niespodzianki. Na przykład wybuchu z zieloną chmurką. Różowych króliczków. Czegokolwiek. Szafa tymczasem była dla odmiany podejrzanie nieruchoma. Lucy przesuwała się w jej stronę tip-topkami, slalomując między szczątkami kubka. Jasna dupa. To był przecież jej ulubiony. W bałwany.

Ktoś wrzeszczał na dole, na schodach zatupały buciory Żankłoda. Lucy pomyślała, że prawdziwa zadyma dopiero się zacznie, choć przecież rano nic nie zapowiadało katastrofy. Była pewna, że wyczerpała repertuar katastrof na listopad i kolejnej czarnej serii powinna się spodziewać dopiero w grudniu. A raczej nie dopiero, lecz już w grudniu, bo to

przecież za chwilę. Lucy zwiesiła głowę i pogрузzyła się w niewesołych myślach. Tak. Grudzień był miesiącem z potencjałem, jeśli chodzi o katastrofy. Mogło się wydarzyć absolutnie wszystko – od przesolonego barszczu po nieudane prezenty, za które ktoś będzie dziękował z wymuszonym uśmiechem i wszyscy będą wiedzieć, że jest wymuszony, a ta osoba też będzie wiedziała, że wszyscy wiedzą. Owszem, Lucy przeżyła już w swoim życiu całkiem sporo grudniowych katastrof i w tym roku spodziewała się kolejnych, bo przecież miała przyjechać Roksi. Roksi musiała sprowadzić katastrofę i w to Lucy ani przez chwilę nie wątpiła. Ale listopad? W listopadzie zdarzyły się już przecież różne rzeczy. Zepsuta kanalizacja – to na start. Zapach wiadomego pochodzenia rozszedł się po domu akurat wtedy, gdy na cotygodniowe spotkanie zebrał się lokalny klub seniora i pani Zenka oznajmiła:

– Jedzie trupem.

Co przecież nie było całkiem zgodne z prawdą.

Później działy się inne rzeczy. Przeciekał dach. W pokoju, który ciotuczna Matylda nazywała jadalnią główną, napuchła podłoga i pani Zenka ponownie roztoczyła swoje trupiarskie wizje, mówiąc, że pewnie kogoś tam kiedyś pochowano i stąd to wybrzuszenie. Dalej – studnia w ogrodzie, której Lucy szukała przez całe dzieciństwo, a którą znalazł pan Stach, także z klubu seniora, przez zupełny przypadek, mianowicie wpadając do niej podczas przyjęcia halloweenowego i łamiąc sobie nogę. Całe szczęście – mówiła córka pana Stacha – że nie była głęboka na dwadzieścia metrów, bo wtedy pewnie na złamanej nodze by się nie skończyło, tylko skończyłoby

się w ogóle, w wymiarze egzystencjalnym. Niemniej, „nawet jeśli mamy do czynienia ze szczęściem w nieszczęściu, to chyba Lucy sobie wyobraża, co znaczy złamanie w wieku pana Stacha”. Lucy sobie wyobrażała. Przepraszyła. Wylała gorzkie żale w mailu do Roksi, a Roksi przelała rodzinie pana Stacha trochę grosza. Całe miasteczko do tej pory mówi, że to się musiało tak skończyć, bo Halloween jest pogańskim świętem i kto to widział, żeby się seniorzy za zombi i wampiry przebierali. Lucy tylko cicho wzdychała. Chciała zorganizować coś oryginalnego, zamiast uczyć się na błędach i wiedzieć, że oryginalność to zawsze kupa kłopotów.

Jeszcze później w listopadzie były różne inne rzeczy, jak odłóżąca tapeta, której całkiem duży płat osunął się na głowę pani Krysi – także z klubu seniora – podczas „improwizowanego seansu spirytystycznego”, dziwnie bulgoczący kran, awarie prądu, kuna na strychu i kłótnia pana Ryśka z panem Heńkiem o panią – oczywiście – Zenkę, która to kłótnia miała miejsce na tej samej imprezie halloweenowej, podczas której pan Stach złamał nogę. Tak. W listopadzie Lucy wyrobiła normę. A dziś był trzydziesty. Andrzejki. Świetnie.

Do pokoju wpadł Żanklod, tak jak się spodziewała. Szef ekipy remontowej urzędującej od dwóch miesięcy w pałacu, człowiek wyglądający jak Mick Jagger w roboczych ogrodniczkach, z włosami związanymi na czubku głowy w koczek, z wiecznie zmarszczonym czołem i papierosem za uchem, pachnący papierosowym dymem i old spice'em, patrzący na wszystkich wzrokiem, w którym dało się wyczytać albo kpinę, albo niedowierzanie.

Lucy wzniosła oczy ku niebu. Żankłod gwizdnął.

– Pani Lucysia to z grubej rury dzień zaczyna, jak widzę.

Mruknęła pod nosem coś, co nie nadawało się do głośnego powtórzenia.

– A my właśnie kibelek na drugim pięterku zdjelim i, pani Lucysiu! Tam to będziem się pierniczyć, ten na dole to było nic. A tu co jest? No co tu jest? Tu jest szafa?

– Mhm – potwierdziła Lucy niechętnie.

– Ta rzeźbiona w brzydkie mordy, co ją niby ciotuchna Matylda z Wiednia za cesarza z wąsem sprowadzała?

Lucy nigdy nie udało się ustalić, skąd całe miasteczko znało historię o ciotuchnie Matyldzie, skoro z całej rodziny ciotuchny zostały tylko ona i Roksi.

– Tak – potwierdziła w końcu.

– To się poszedł walić zabytek, pani Lucysiu, to się poszedł walić! – Żankłod cmoknął.

– Nawet dosłownie – westchnęła ciężko Lucy.

– A co tu się stało dokładnie?

– Nie wiem.

– Pani tak stała i kawkę piła?

– Dokładnie tak.

– Ani chybi, duch ciotuchny.

– Ani chybi.

Bywały wieczory, kiedy Lucy czuła się bardzo samotna w swoim dwupokojowym mieszkanku urządzonym na piętrze tego wielkiego, walącego się na głowę domu. Nie pogardziłaby duchem ciotuchny. Tyle się o niej nasłuchiwała, że z pewnością by się dogadały. Stawiała nawet czasem przed

portretem ciotuchny filiżankę gorącej czekolady i maślane ciasteczka w pełni świadoma, że prawdziwa dziewiętnastowieczna hrabina z zasadami byle dziadostwa jeść i pić nie będzie, ale nadal nic się nie działo. Ciotuchna na obrazie – wyniosła dama w jasnej sukni, ciasno zasznurowana w pasie, uzbrojona w parasolkę i psa, w kapeluszu z szerokim rondem i z jakąś altanką za plecami – wydawała się wciąż jednakowo niewzruszona losem swojej potomkini. Ulokowane w „pałacu”, jak mówiono w miasteczku na dom, instytucje – księgarnia, biblioteka, klub seniora sprzęgnięty z dyskusyjnym klubem książki, klub miłośników teatru, któremu wynajęła „salę kryształową” z balkonem, jak również lumpeks pani Basi, który ta ostatnia konsekwentnie nazywała „vintage shopem” – cichły i pustoszały z nadejściem wieczoru. O ósmej czy dziewiątej tłukli się czasem jeszcze ci z teatru, ale tylko wtedy, kiedy trwały próby do nowego przedstawienia. Lucy zostawała sama z trzeszczącymi schodami, wyjąłym w korytarzach wiatrem i kuną na strychu. W takich razach duch ciotuchny byłby nader pożądanym towarzystwem. A jeszcze bardziej pożądanym towarzystwem byłby Aleksander, właściciel Walhalli, najmodniejszej kafejki w Rynku. Całkiem żywy, nie duch. O tak, Lucy nie pogardziłaby towarzystwem Aleksandra w któryś z tych szarych, zimnych listopadowych wieczorów, kiedy spadają na nią wszystkie katastrofy świata. Siedziałyby z nią na kanapie, rozniecał ogień w kominku – i nie tylko – i zapewniał tym swoim niskim, melodyjnym głosem, że wszystko będzie dobrze, remont pałacu kiedyś się skończy, a wtedy koszta spadną, opłaty za wynajem sal

wystarczą na uregulowanie rachunków, a Lucy będzie się żywić dodającą energii i wcale nietuczającą miłością.

– Stolarza jednego znam, pani Lucyśko – przemówił znowu Żankłod i z namaszczeniem uniósł deskę, która odpadła od szafy. – Stolarza, co jest jednocześnie konserwatorem zabytków, bo tak to już czasem ludzie mają, że umieją różne rzeczy. Może on to reanimuje. Spalić to w piecu trochę szkoda tak bez walki.

Lucy posłała mu umiarkowanie przychylne spojrzenie. Owszem, nie mógł wiedzieć, że właśnie wyrwał ją z wymagowanych objęć Aleksandra, ale mimo wszystko są chwile, kiedy ludzie nie powinni się odzywać. Schyliła się i obejrzała płamę na dzinsach.

– Dużo weźmie? – zapytała.

– No on ogólnie tani nie jest, bo i dobry, a jak dobry, to nie może być tani – polecił filozofią Żankłod i puścił do niej oko. – Ale dla starego kumpla da rabat. My to się znamy jeszcze z Francji, pani Lucyśko, my razem nad Loarą robiliśmy, tyle że on przy okazji to taki mózgowiec. Język znał, zagadał tu i tam, nawet dziewczynę jakąś poznał, Josephine, ech te Francuzki!

Teraz z kolei rozmarzył się Żankłod i Lucy przez chwilę taktownie milczała. Wiedziała, że pracował piętnaście lat we Francji, w co wierzyła, i utrzymywał, że był członkiem ekipy remontowej w zamkach nad Loarą, w co nie wierzyła, ale dla niej liczyły się przede wszystkim jego umiejętności i cennik, a jedno i drugie okazało się do zaakceptowania. Wiedziała jeszcze jedno – że Żankłod uwielbiał Francuzki

i beznadziejnie kochał się w żonie prezydenta Macrona. Zresztą nawet Lucy zazdrościła jej tych obłędnie zgrabnych łydek...

Wróciła myślami do szafy. Bądź co bądź zabytek. Brzydki, ale w rodzinie od stu pięćdziesięciu lat, więc Żankłod miał rację – nie powinna oddawać go na opał bez walki. Choć ciotuczna Matylda powinna to zrozumieć, bo przecież grzejniki w pałacu zawieszono chyba tylko w celach dekoracyjnych i dla zmyłki. W dodatku nie bardzo wiadomo, kiedy i kto to zrobił. Czy wiązały się z tym jakieś dalsze plany, tylko nie zostały z jakiegoś powodu zrealizowane, a jeśli tak, to o co chodziło. Pałac skrywał po prostu swoje tajemnice i Lucy nauczyła się nie tylko je akceptować, ale i z nimi żyć. Mimo to lubiła kąpać się w ciepłej wodzie i miała takie swoje małe marzenie, by pewnego wyjątkowo mroźnego poranka nie zamarznąć. Nic więcej. Żankłod obiecał, że po remoncie wszystko się zmieni. Nowy piec się wstawi, taki, co się da nawet z telefonu włączyć i wyłączyć. I dobrze będzie. Gdyby tu miał być hotel, jak radziła Roksi, taki piec by nie wystarczył, ale hotelu nie było...

– A jak się z nim skontaktować? – przemówiła i z satysfakcją odnotowała, że tym razem to ona przerwała Żankłodowi rozmyślenia zapewne dotyczące pani prezydentowej Macronowej.

– Co? A tak. Stolarz. Jasne. Franek zjeżdża z Francji w grudniu. Mówi, że sobie zrobi miesiąc urlopu, a potem gdzieś osiadzie w Polsce i otworzy firmę. Się nie wtrącam, bo co się będę wtrącać, ale jak dla mnie, to on błąd robi.

– Pan też wrócił.

– Ja to co innego. Ja jestem stąd. Moja matka jest chora i nie wiadomo, co dalej będzie, bo już lata nie te. A pani, pani Lucyśko, szukała kogoś do wyremontowania tej starej rudery. Ja tu się w dzieciństwie żem bawił i zdzierżyć nie mogłem, żeby to kto inny miał łapami dotykać. Ja tu wszystko wiem, jak zrobić, i jako stary nieomalże mieszkaniec Mirogrodu zrobić to żem musiał! To się nazywa odpowiedzialność!

– To się nazywa dobrze płatna robota blisko rodzinnego domu, żeby móc matki doglądać.

– Z tą dobrze płatną to bym już tak znowu nie przesadzał.

– Tu nie Francja.

– Pani Lucysia do czegoś konkretnego zmierza? Bo jak nie, to bym na fajkę poszedł.

– Czyli co z tym stolarzem?

– Frankiem.

– Dobrze, że nie François.

– Bardzo śmieszne. Przyjedzie w grudniu na ten swój urlop. Chciałem, żeby u mnie się zatrzymał, w końcu matka ma cztery pokoje, więc jest gdzie spać, ale on się uparł na hotel. Już sobie wszystko zarezerwował. On to taki milczek, jak się zatnie, to cały dzień nie gada i tak samemu być lubi, pewno się bał, że z moją matką to trzeba będzie, tę tam, towarzyską rozmowę prowadzić. Wiadomo, ja wolnego nie mam, tu się pracuje, więc on by sam...

– Ale czy jemu by się chciało szafą zająć, skoro to jego urlop? – weszła mu w słowo Lucy, bo wiedziała, że Żanklod, w przeciwieństwie do swojego kumpla Franka, nie jest

milczkiem i jak już wpadnie na swoje tory, to mu się gęba przez cały dzień nie zamknie.

– A co tu będzie innego robił? – spytał zaskoczony Żankłod.

– Też prawda.

– Poza tym on taki mało świętujący, więc akurat.

– Mało świętujący? Dlaczego?

– Ano jakies zaszłości. Święta go ponoć rozdrażniają.

Żankłod oddalił się w stronę fajkowego balkoniku, o którego przeznaczeniu zdecydowała ekipa remontowa, ale sama Lucy nigdy go nie przeznaczyła na palarnię. Ponownie ciężko westchnęła i powędrowała do swojej sypialni. Musiała się przebrać, a później w miarę możliwości posprzątać fruwiąjące po małym saloniku wiórki z nieszczęsnej szafy. Potem poprosi Żankłoda i chłopaków, żeby jej tego grata z pokoju wynieśli. Zresztą Żankłod pewnie zrobi to bez proszenia. I na wszelki wypadek wołała nie myśleć, że mogła stać tam, na linii upadku szafy, i teraz leżeć pod dechami w stanie dalekim od zadowolającego. Kończył się listopad. Lepiej było pomyśleć o tym, co miało nadejść. Zastanowić się nad przyszłymi katastrofami, bo że nadejdą, nie miała wątpliwości.

– Nie wszystko złoto, co ciężkie – oznajmiła z godnością pani Zenka, o którą na imprezie halloweenowej pokłócili się pan Rysiek z panem Heńkiem. – Szafa może i zabytkowa, ale jak brzydka, to nikogo ta zabytkowość nie powinna

obchodzić. My tu wszyscy jesteśmy zabytkowi, a przecież jednocześnie nie każdy jest ładny, prawda?

Układała właśnie pasjansa i popijała herbatę z miną kobiety, która wie, że w jej przedziale wiekowym i w tym konkretnym klubie seniora nie ma żadnej konkurencji. Nawet Lucy – ledwie po trzydziestce – zazdrościła pani Zence prostych jak deska pleców, ściągniętych łopatek, drobnych ramion arystokratki i imponująco wąskiej talii. I trochę też klasy. Pani Zenka zawsze miała na sobie prostą sukienkę w jednym kolorze, za kolano, z wąskim paseczkiem, a do niej pończochy ze szwem, pantofelki na obcasie i sznur pereł. Lucy nie ośmieliła się pytać, czy prawdziwych. Włosy pani Zenka spinała w elegancki kok, a raz w tygodniu odwiedzała – najlepszą jej zdaniem i „sprawdzoną” – kosmetyczkę w Mirogrodzie, by zrobić sobie brwi i paznokcie. Lucy niemrawo popijała kawę i popatrywała na swoją kraciatą koszulę kupioną w międzynarodowej sieciówce w dużym mieście. Modną niby. A jednak jakoś tak...

Pani Zenka oderwała wzrok od pasjansa.

– Ty tu, Lucy, nie powinnaś przesiadywać. Ze starymi. Do młodych byś wyszła. Do kawiarni Aleksandra, na przykład. Albo do Jaśka na piwo. Tam wieczorami, jak widzę, jest bardzo wesoło, choć to nie miejsce, które sama bym chętnie odwiedziła, rozumiesz, z własnej woli i dla przyjemności.

– To podobnie jak ja, pani Zeniu.

– Ale ty nie możesz być jak ja, Lucy! Ja miałam czterech mężów, a ty ilu? Wiem, zero. I nie tylko ja to wiem, ale każdy. Rozumiem, że teraz śluby nie są w modzie, a kobiety nie

żyją po to, by się podobać mężczyznom, jednak... Chociaż nie, w zasadzie to dobrze, sama chciałabym być teraz młoda i żeby mi nikt nie mówił: musisz się podobać, musisz być miła, musisz być ułożona, a do tego wmawiał, że mnie nie wolno tego co chłopcom. O tak, ty już nie musisz, Lucy, szukać sobie męża. Ty się nimi baw! Ty im pokaż kobiecą siłę! Nie bądź grzeczna i ułożona ani nawet elegancka, nie bądź...

– Nie jestem elegancka – wtrąciła nieśmiało Lucy.

Pani Zenka powachlowała się kartami.

– To fakt – oznajmiła.

– Czyli co mam robić?

Pani Zenka wzruszyła ramionami. Nie mogła się, widać, zdecydować, czy woli być arystokratyczną damą, o którą mężczyźni toczą pojedynki, czy raczej *femme fatale*, która nie kocha nikogo prócz siebie. Powachlowała się znowu kartami.

– No wiesz, moja droga, seks jakoś specjalnie ludziom nie szkodzi. O ile się orientuję, to wręcz przeciwnie.

Kilka pań z klubu seniora spłonęło rumieńcem, a i sama Lucy nerwowo chrząknęła. Panowie, którzy udawali, że grają w szachy, tak naprawdę teraz z uwagą przysłuchiwali się ich rozmowie.

– Ten Aleksander od kawiarni jest całkiem przystojny, choć jeśli mam być szczerą, dla mnie za bardzo skandynawski typ. Trochę jak Thor. Choć to się może podobać.

– Ale ja nie...

– Ja tam zawsze wolałam typ włosko-hiszpański, ciemna karnacja, czarne oczy, pełne usta, białe zęby... niemniej to kwestia indywidualnych upodobań.

– Aleksander...

– Tak? Co z Aleksandrem? Lucy, dlaczego wolisz siedzieć ze staruchami, zamiast owinąć sobie wokół palca tego Thora i zawlec go do swojej sypialni?

– Pani Zeniu...

Lucy zrobiło się gorąco, ale w przeciwieństwie do swojej rozmówczyni nie miała się czym powachlować. W jej głowie rozbrzmiały dzwonki alarmowe oznajmiające, że powinna się stąd natychmiast ewakuować, a pani Zenka – zmienić temat, bo mężczyźni na dobre porzucili szachy i z wolna przemieszczali się z krzesłami w kierunku stolika z pajsanssem. Lucy nie miała siły na kolejną kłótnię, a już tym bardziej na żaden pojedynek. Pani Zenka umiała rozpalić wyobraźnię. Pierwsi z krzesłami przemieścili się panowie Rysiek i Heniek. Racja, Lucy nie powinno tu być. Wynajmowała im jedynie salę na ten ich mały klubik tutejszych emerytów i pobierała opłatę. Nic więcej jej nie dotyczyło. Rankiem obejrzała uważnie ściany i meble w sali klubu na wypadek, gdyby miał się powtórzyć incydent podobny do tego z szafą. Wiedziała, że nic tu nie powinno niespodziewanie runąć. Żanklod z kolei zapewniał, że w ogrodzie nie ma już żadnych ukrytych studni, które ktoś mógłby znaleźć przypadkiem i w bardzo niefortunnym momencie. Nic z tych rzeczy. Nie musiała ich więc pilnować. Pani Zenka miała rację. Powinna być gdzie indziej, w kawiarni Tho... Aleksandra, w jakiejś ładnej sukience, a nie w tym czymś kraciastym z sieciówki.

Lucy podniosła się z fotela.

– Dobrze, to ja już pójdę – wymamrotała.

Kiedy zbliżała się do drzwi, dobiegł ją podniesiony głos pani Zenki.

– Bardzo dobrze, Lucy, daj zajęcie swoim biodrom!

Na korytarzu odetchnęła, choć wcale nie z ulgą, tylko dlatego że w klubie w pewnym momencie musiała wstrzymać powietrze i zapomniała je wypuścić. Daj zajęcie biodrom, łatwo powiedzieć. I w co się niby powinna ubrać? Może pani Basia z vintage shopu będzie miała coś ładnego. Lucy z ciężkim sercem przecięła duży hall i weszła do lumpeksu.

Potykając się na kocich łbach i przeklinając pomysł włożenia kozaczków na szpilkach, Lucy dotarła do kawiarni Aleksandra pół godziny przed zamknięciem. Powinna była to przewidzieć. Kupiła oczywiście sukienkę w lumpeksie pani Basi. Później wrzuciła ją do pralki, jeszcze później do suszarki – jedyny przejaw luksusu w życiu Lucy i na dodatek opłacony przez Roksi – a jeszcze później z namaszczeniem odprasowała. Kiedy zrobiła makijaż i dobrała buty, w pałacu nie było już nikogo. Aleksander zamykał kawiarnię o dziewiątej. Były andrzejki. Na pewno nie on dziś pracuje, tylko ta młoda dziewczyna z tu-tejszego liceum. Lucy powinna o tym pomyśleć. Dziewczyna często przecież bierze drugą zmianę, bo rano ma szkołę. Ale dziś? Może to ona imprezuje, a nie Aleksander? Lucy straciła kolejny kwadrans na dylemat pod tytułem: iść czy nie iść, po czym wymaszerowała z pałacu. Teraz, nieszczęsne pół

godziny przed zamknięciem, pchnęła drzwi i nerwowo przeknęła ślinę. Siedział za ladą. Z kawiarni powoli wykruszali się ostatni klienci. Aleksander stukał palcami w staromodną kasę, która stała tu jako dekoracja, i czytał książkę. Wymiętą, w poźółkłej okładce. Lucy przechyliła głowę, by dojrzeć tytuł. *Dziwne losy Jane Eyre*. Głowa Lucy wróciła do poprzedniej pozycji. Doskonale. Nie dość, że przystojny, to jeszcze inteligentny i odcytany. Tacy ludzie nie mają prawa istnieć.

Aleksander uśmiechnął się szeroko na jej widok i wskazał – miała nadzieję, że wskazał, a nie że tylko to sobie wymyśliła – miejsce przy kontuarze. Nie lubiła siedzieć na barowych stołkach, bo jako osoba raczej niewysoka nie miała co zrobić z nogami, które zawsze smętnie jej zwisały, na początku tak po prostu, a później dlatego, że były całe zdrętwiałe i Lucy bała się z takiego stołka zejść. Teraz jednak należało się poświęcić. Lucy powiedziała sobie w duchu, że robi to, by nie rozczarować pani Zenki.

Ostatni klient opuścił kawiarnię, żegnając się z Aleksandrem, jak również z Lucy, bo w Mirogradzie prawie wszyscy się znali, mało wyszukany: „No to narka”. Pomyślała, że głupio zrobiła, że tu przyszła. Aleksander na pewno chciałby pójść do domu, zamiast czekać, aż ona łaskawie zje i wypije... to, co sobie wreszcie zamówi. Ale on mrugnął do niej i szepnął:

- Jeszcze dwadzieścia minut do zamknięcia. Jak nie masz planów, to zostań, przynajmniej pogadamy chwilę w spokoju.
- Słucham? – wykrztusiła.

– Nigdy tu nie przychodzisz posiedzieć, zawsze tylko wszystko na wynos, jak nie kawa, to ciastko. Wiesz, kiedy mieszkałem w Warszawie, też wszędzie biegałem i rzadko piłem kawę na siedząco, ale tutaj chyba jest trochę inaczej.

Inaczej. Bardzo uprzejmie z jego strony, że nie powiedział „nudno”.

– Mhm – mruknęła.

– To na co masz ochotę?

Daj zajęcie swoim biodrom, daj zajęcie swoim biodrom, daj zajęcie...

– Marchewkowe poproszę. I herbatę z pomarańczą, miodem i imbirem – powiedziała, ignorując w głowie głos pani Zenki.

– Dobry wybór. Ciasto już kroję, a herbata za chwilę, musi dojść.

Czy on nie zna innych słów, które z niczym się nie kojarzą?

Z głośnika wybrzmiały pierwsze dźwięki nowej wersji piosenki z filmu *Piękna i Bestia*.

– Jezus Maria – szepnęła pod nosem Lucy.

– Słucham?

Aleksander postawił przed nią talerzyk z ciastem.

– Nic, nic.

Nigdy więcej nie będzie odwiedzała klubu seniora, a już na pewno nigdy już nie zamieni słowa z panią Zenką. Koniec z tą przyjaźnią. Przez chwilę przyglądała się zwinnym ruchom Aleksandra krojącego pomarańczę. Spróbowała ciasta. Rzeczywiście było pyszne. W nim również czuło się imbir i Lucy ogarnął na moment świąteczny nastrój. Pomyślała,

że choć nie piekła niczego od wieków, w tym roku na święta musi spróbować. Może piernik? Albo imbirowe ciasteczka, z którymi tak się kojarzył smak tego właśnie ciasta?

– O czym myślisz?

Aleksander postawił przed nią kubek z herbatą. Pachniała intensywnie i także bardzo świątecznie.

– Czekaj, już dziewiąta. Zamknę drzwi. Pytałem, o czym myślałaś, bo nagle zaczęłaś się uśmiechać.

Aleksander przystawił sobie stołek barowy i usiadł obok niej. Zastanawiała się, jak ma zjeść do końca to ciastko i przełykać kolejne kęsy przez swoje niemożliwie ściśnięte gardło.

– Myślałam o ciastkach imbirowych mojej mamy – wyznała wreszcie.

– Słyszałem, że półtora roku temu... Przykro mi.

– Tak. Nie było cię tu wtedy i jej nie znałeś, ale dziękuję.

– Wszyscy mówią, że była najlepszą nauczycielką na świecie i każdy ją uwielbiał.

– To prawda. Z każdym umiała się dogadać. Niestety nie odziedziczyłam tego po niej.

– To dlatego wróciłaś do Mirogrodu? Żeby się nią zająć?

– Tak. W międzyczasie to moje drugie życie, krakowskie, się rozsypało, bo komuś nie starczyło cierpliwości, żeby być tylko ze mną, więc... Ale teraz już szkoda gadać. Było, minęło. Zostałam tutaj.

– I zajęłaś się pałacem.

Skinęła głową i zaczęła wolno przeżuwać kolejny kęs ciasta. Później, pod wpływem chwili, opowiedziała mu historię dworu należącego kiedyś do jej ciotki, hrabiny Matyldy

z Aleksandrowiczów Chołoniewskiej, i nazywanego przez wszystkich w okolicy pałacem. Za komuny dwór oczywiście przejęło państwo i urządzono w nim dom pracy twórczej, ale od końca lat osiemdziesiątych aż do roku dwa tysiące dziesiątego, kiedy rodzinie Lucy udało się go odzyskać, stał pusty i niszczał. Niszczał także później, bo matka Lucy i Roksi – samotna matka – nie była go w stanie wyremontować z pensji nauczycielki języka polskiego. Mieszkały więc dalej we trzy w kamienicy w mirogrodzkim Rynku i każdego dnia chadzały na spacery do „pałacowego” parku, gdzie lubili się gromadzić także miejscowi żule. Nie przeszkadzało im to. Marzyły o dniu, w którym skądś pojawią się pieniądze, a one wyremontują dwór i... No właśnie, w tym punkcie marzenie przestawało być wspólne, bo każda miała inną wizję przyszłości. Matka chciała wyremontować dwór dla samego dworu i rodzinnego dziedzictwa ciotuchny Matyldy, która po śmierci nie mogła zaznać spokoju przez ten cały bajzel. Roksi chciała otworzyć tu luksusowy hotel ze spa. Lucy zaś marzyła się jakaś instytucja o charakterze kulturalno-artystyczno-oświatowym, co Roksi bezlitośnie wyśmiewała, bo przecież na kulturze się nie zarabia. Miała rację, choć to właśnie Lucy znalazła się teraz najbliższej spełnienia swoich marzeń. We dworze było wprawdzie teraz mydło i powidło, a ciotuchna Matylda z pewnością nie spała spokojnym snem wieczystym, tylko wygrażała pięściami i klęła na potomnych, niemniej znalazło się tu miejsce i na kulturę, i na sztukę, i na oświatę. A że z wynajmu sal ledwie starczało na rachunki? Lucy miała przedtem w Krakowie dobrą pracę

w międzynarodowej korporacji i zdołała zgromadzić spore oszczędności, które zamierzała przeznaczyć na ślub i wyposażenie mieszkania w nowoczesnym apartamentowcu, ale ślubu ostatecznie nie było, więc dogadały się z Roksi, zrobiły zrzutkę i wynajęły ekipę remontową, z Żanklodem na czele. Tak, Roksi odegrała w tym wszystkim ważną rolę i trzeba to było docenić. Poza tym Roksi miała nadal sporo pieniędzy i potrafiła być hojna, podczas gdy Lucy środków na koncie zostało już niewiele. Niechętnie myślała o siostrze, której musiała oddać sprawiedliwość akurat w tej sprawie. Bo przecież Roksi nie było tu wtedy, kiedy była najbardziej potrzebna. W tym dniu, w którym koniecznie być powinna, nie wspominając o innych dniach, które ten straszny dzień poprzedzały. Pracowała i nie mogła przyjechać. Kręciła tysiąc osiemdziesiąty odcinek tej swojej głupiej telenoweli, a dodatkowo dostała gościnną rolę w jakimś innym serialu, z dużym budżetem, więc „Lucy, sama rozumiesz”. Lucy za cholerę nie rozumiała, ale nie robiła problemów. Z siostrą od dawna porozumiewały się głównie esemesami. Miała wrażenie, że Roksi nie jest już dla niej kimś bliskim, nawet jeśli miały podobne rysy twarzy.

Mówiła i mówiła, zjadła całe ciastko, wypiła herbatę, a Aleksander złapał ją za rękę. Nie, nie w sposób, o którym pani Zenka mogłaby powiedzieć, że ma „podtekst erotyczny”. Raczej czule. Może po przyjacielsku, a może... nie?

– A ty? – wydukała, trochę zawstydzona i bardzo szczęśliwa. – Dlaczego wybrałaś sobie akurat Mirogród na miejsce do życia?

– To jest długa i nudna historia. Może opowiem ci ją następnym razem?

– Następnym razem?

– Cieszę się, że w końcu wpadłaś, Lucy. Zapraszałem cię już wiele razy, lecz ty zawsze na wynos i na wynos. Chciałem wszystkich tutaj poznać, a z tobą mi szło najtrudniej. I wreszcie jesteś! Nie wiem, czy miło spędzasz teraz czas, ale ja bardzo.

Lucy uśmiechnęła się niepewnie. Ostatni raz czuła się tak w piątej klasie podstawówki, kiedy po latach bycia niewidzialną siostrą Roksi Dębińskiej doczekała się chwili triumfu – matematyczka uniosła do góry jej sprawdzian i powiedziała, że Lucy to wybitny umysł ścisły i każdy powinien się od niej uczyć. Zamurowało ją. Nigdy nie sądziła, że może być w czymkolwiek wybitna i że ktoś czegoś powinien się od niej uczyć.

– Czyli mówisz, że na święta przyjeżdża twoja siostra?

Lucy się zachmurzyła.

– Tak. Nie na same święta, ale w ogóle na dużą część grudnia.

– A ty się z tego wcale nie cieszysz?

– Aż tak bardzo to widać?

Aleksander przysunął się bliżej i mocniej ścisnął jej rękę.

Nie dam się zabić w kartonach

Roksi Dębińska wiele rzeczy potrafiła ludziom wybaczyć, ale nienawidziła, kiedy ktoś ją robił w ch... Tak, była po tysiąc-kroć bliska użycia tego słowa w myślach, a jednak obiecała sobie przecież, że nie będzie się denerwować. Kobieta z klasą nie okazuje zdenerwowania. Kobieta z klasą knuje po cichu i z pogardliwym uśmiechem na ustach, kobieta z klasą obmyśla zemstę na zimno, a potem obserwuje wszystko z odpowiedniego dystansu i wydaje dyspozycje. Dobić. Oszczędzić. Kciuk w górę. Kciuk w dół. Tyle. Dama nie brudzi sobie rąk i nie wyrzuca z siebie plugastw.

Jasne.

Roksi Dębińska wszystko to świetnie wiedziała w teorii, ale w praktyce musiała przyznać, że ją boli. Serce ją boli. Nigdy w życiu nie czuła się tak zraniona i niesprawiedliwie potraktowana, nikt nigdy nie wbił jej noża prosto w bebech i kilka razy nie przekreślił, powodując konanie w męczarniach. Żeby to jeszcze zrobili przed kamerami, żeby kazali jej zagrać taką scenę, ale nie! Gdzie tam! W wymyślny

sposób torturowali Roksi poza kamerami. Przed kamerami miała zginąć, wjeżdżając w kartonowe drzewo. Kartonowe tak bardzo, że już bardziej kartonowe być nie mogło. Roksi wszystko rozumiała, mały budżet to nie superprodukcja, ale mimo wszystko. Marzyła czasem, by spróbować czegoś innego, zagrać na przykład scenę w blue boksie, bez żadnych dekoracji ani niczego takiego, a później tę samą scenę zobaczyć po komputerowej obróbce, ze sobą stojącą nad wielkim wodospadem wśród srebrzystych obłoków porannej mgły. Jak w *Grze o tron!* Ech, to musiało być niesamowite dla Emilii Clark, kiedy tak patrzyła na siebie samą puszczającą miasto z dymem przy użyciu wściekłego smoka! Piękna sprawa!

Roksi wróciła do rzeczywistości i rąbnęła scenariuszem o ścianę. Tak dobrze to nie ma.

Tadzik zjawił się nagle. Był błądy i trzęsły mu się ręce. Roksi rzuciła mu niechętnie spojrzenie, a mężczyzna przestąpił z nogi na nogę. „Dupa wołowa”, mruknęła pod nosem.

- Chcesz kawy? – zapytał.
- A wyglądam na kogoś z niskim ciśnieniem?

Wzrok Tadzika automatycznie przesunął się na skroń Roksi, gdzie pulsowała gruba żyła.

- Czas się malować – powiedział nieśmiało.
- Odwal się. Niech się wszyscy odwalą.
- Odwalą się, kiedy...

Tadzik ugryzł się w język, a tętno Roksi przyspieszyło jeszcze bardziej. Chciał powiedzieć: „Kiedy już zagrasz tę ostatnią scenę”. Zdrajca jeden. A tak to zawsze: „Roksi, jakaś ty piękna. Jaką masz cerę, prawie nie trzeba korektora”.

Chyba że siadała na fotelu dzień po imprezie do białego rana, wtedy, owszem, korektor musiał być. Ostatnimi czasami, niestety, zdarzało się to coraz częściej. Roksi czuła się, po pierwsze, zmęczona i znudzona rolą w telenoweli, a po drugie, paradoksalnie, musiała się w tej telenoweli utrzymać, bo innych propozycji nie miała. W branży krążyły o niej plotki. Wściekała się, kiedy jej o tym donoszono, a jednak wszystkiemu zaprzeczyć nie mogła, bo nie była aż taką hipokrytką. Uśmiechała się więc słodko i rzucała ten stały głodny kawałek o tempie pracy i zmęczeniu, a uśmiech nie znikał jej z ust nawet wtedy, kiedy ktoś sugerował, że praca w telenoweli to trochę jak praca w biurze. Wychodzi się rano, wraca po południu, ciągle w to samo miejsce i z tymi samymi ludźmi... Mieli rację. Jednak Roksi zasady wpojone przez matkę, surową polonistkę, nie pozwalały zaprzeczać plotkom. Tłumaczyła się więc i przepraszała, gdy jej mówiono, że nie powinna „niby przypadkiem” wylewać wina na sukienkę wchodzącej gwiazdy telewizji. Wdzięczyć się do producenta związanego z konkurencyjną stacją przy jego żonie, która gra główną rolę w jego serialu, a później tę samą żonę obgadywać w toalecie z innymi aktorkami tegoż serialu, co, jak wiadomo, do rzeczonyj żony musiało wrócić. Policzkować scenarzysty przy Grażynie Szapołowskiej, na co ta tylko uniosła brew. Sugerować przy ludziach Danucie Stence, że jest za chuda i u progu swojej kariery była bardziej przy kości – cóż to za cudowna dieta? Krytykować aktorek tuż po szkole teatralnej za niechlujną dykcję i słabe, wysokie głosiki, zupełnie nienadające się do wypowiedania ważnych kwestii.

Ogólnie więc tak – Roksi była wrzodem na dupie polskiej branży rozrywkowej. Wiedziała o tym. I nie umiała się zmienić. A teraz jeszcze wdała się w głupi romans z gwiazdą telenoweli, w której grała, z głównym aktorem dźwigającym na barkach całą nędznię fabułę, świadomym swej pozycji człowieka dyktującego warunki. On się z nią zabawił i powiedział: „To tyle, mała”, albo coś w tym stylu, a ona zrobiła mu wielką scenę przy całej ekipie – oczywiście z policzkowaniem i wylewaniem kawy na koszulę. Dzięki niebiosom, że na koszulę, bo kawa była gorąca, więc gdyby trafiła w twarz, skończyłoby się pewnie w sądzie. A tak to kochaś zaczął płakać niczym Christiano Ronaldo smyrnięty po plecach na boisku, że poparzenia, że boli, że lekarza! Ale na nią się wściekli! Zdjęć tego dnia nie było, a kochaś – z czerwonym plackiem na torsie, który zaczął znikać już wtedy, kiedy go przyjął lekarz – oświadczył, że on z Roksi więcej grać nie będzie. I oto stała przed Tadzikiem z zaciętą miną w ostatni dzień zdjęć. Swoich zdjęć. Inni zostaną. Będą grać ten serial do końca cholernego świata dla nowych pokoleń nieświadomych, od czego się zaczęło i że Roksi była jedną z pierwszych zatrudnionych aktorek. Jej kochasiowi zrobią zaś pięćdziesiątą operację plastyczną, by mógł ciągle występować z młodkami i nie wyglądał jak ich dziadek. Ech, parszywe to życie.

Roksi rozbeczała się w głos i położyła głowę na ramieniu zaskoczonego Tadzika.

– Nie dam się zabić w kartonach – chlipała. – Nie dam!
Zrób coś!

– Ale... ale co ja mogę, Roksi? No co ja mogę?

Odsunęła się od niego i głośno wysmarkała.

– Nikt tu nic, kur..., nie może.

Odetchnęła. Nie przeklinaj, Roksi. Pokaż siłę. Jeśli jej nie pokażesz, wszyscy będą myśleli, że jesteś słaba. Nie bądź wulgarna i nie płacz.

Tuż po motywacyjnej wewnętrznej gadce Roksi znowu się rozbeczała. To nie mogło się dziać naprawdę. Co ona teraz zrobi ze swoim życiem? No co? Kazali jej odpocząć, a raczej – zasugerowali, że powinna. Że to jej dobrze zrobi. Zapowiedziała się już z wizytą u siostry, ale prawdę mówiąc, wcale nie miała ochoty spędzać połowy grudnia – w tym świąt i sylwestra – na tym zakichanym zadupiu. Lucy oczywiście już jej znalazła zajęcie pod tytułem jasełka. Miała wyreżyserować – bo na występ gościnnie kategorycznie się nie zgodziła – jasełka wystawiane w amatorskim teatrze, którego wiejska trupa wynajmowała salę w pałacu ciotuchny Matyldy. Roksi rozumiała, że Lucy musi jakoś zarobić na rachunki, ale doprawdy znalazłyby się lepsze sposoby. Dwór aż się prosił, by go przerobić na hotel. Świetnie położony, wokół park i ogród, niedaleko płynął strumyk, jeszcze dalej ciągnęły się łagodne pagórki, żyć nie umierać. Idealne miejsce na spa dla znerwicowanych pracowników dużych wielkomięjskich firm. Roksi już widziała te panie w białych szlafrokach relaksujące się w grotach solnych. I konferencje! Tak, konferencje i imprezy z animacjami, także dla pracowników dużych firm. Na tym na pewno dałoby się sporo zarobić, ale to właśnie Lucy powinna wyskoczyć z pomysłem hotelu, nie Roksi. Lucy zawsze była ścisłowcem, matematykiem,

idealnym pracownikiem banku, który kochał cyfry i tabelki. Nadawała się doskonale do prowadzenia firmy. Roksi zaś była artystką. Dlaczego więc to Roksi co rusz przedstawiała siostrze świetny jej zdaniem biznesplan, a Lucy w zamian wołała spędzać czas wśród starych ludzi, aktorów amatorów, książek i ciuchów z lumpeksu? Zachowywała się jak nie ona. Roksi rozumiała – odwołany ślub, złamane serce, te sprawy, ale życie biegnie naprzód. Ślub jak ślub, facet się znajdzie nowy, ale telenowela? Gdzie ją teraz zatrudnią? W *Klanie* już wszystko zaklepane, więc ewentualnie *Na dobre i na złe*. Tam co pewien czas wymieniają przecież całą ekipę. Tak, to jest jakiś pomysł. Pojedzie do Lucy, wyciszy się, napisze na swoim Facebooku post, w którym się pokaja, przeprosi, powie, że miała w życiu trudny czas, ale teraz wszystko wraca na właściwe tory, i liczy, że los się jeszcze do niej uśmiechnie, fani zaś będą ją wspierać, bo przecież jest tylko człowiekiem, a ludzie mają wady.

Roksi znowu wytarła głośno nos i uśmiechnęła się do Tadzika.

– No dobra, chodźmy się malować – powiedziała.

Tadzik nie wyglądał na zachwyconego. Zaraz się jednak rozpromienił.

– Wiesz, z tymi opuchniętymi czerwonymi oczami i zwi-sającym z nosa glutem świetnie wyglądasz jako ta załamana osoba, która z rozpaczy wjeżdża w kartonowe drzewo. Pójdziemy dzisiaj w naturalizm.

Roksi cicho jęknęła.

Nie będzie, niczego nie będzie. Nie będzie jej w grudniu w Warszawie. Nie będzie jej na świątecznych przyjęciach z choinką i prezentami. Nie będzie kupowania nowych kreacji i pozowania w nich do zdjęć. Nie będzie optymistycznych świątecznych filmików, które nagrywała co roku i publikowała na Facebooku i Instagramie dla swoich fanów. „Cześć, Kochani! W tym wyjątkowym czasie życzę Wam...”. Wszystko podparte jakąś krótkodystansową działalnością charytatywną, wspieraniem schroniska dla psów, dajmy na to. Ślitfocia w czerwonym sweterku. „Bądźcie dla siebie dobrzy w tych pięknych dniach”. „Życzę Wam wszystkiego dobrego – dużo słodczy, imbiru, a może imbirowej miłości!”

Imbirowa miłość! Co za brednie! Roksi nie wierzyła w żadną miłość, a już na pewno nie w imbirową. Takimi duperelami mogła sobie zawracać głowę romantyczka Lucy, która wciąż czekała, aż pod jej okno podjedzie rycerz na białym koniu z naręczem lilii, które narwał był własnoręcznie w stawie, ryzykując śmierć poprzez utopienie i nadal pluł mulistą cieczą. Później mogłaby takiego przeziębionego księcia pielęgnować, wzdychając, że tak się dla niej pięknie poświęcił, a teraz tak poetycko kaszle. I pomyśleć, że to Lucy była ekonomistką, a Roksi aktorką z – niewątpliwą – wyobraźnią. No ale co zrobić? Show-biznes niszczy ludzi. Wyciska z nich wszystkie soki, a później wyrzuca jak zużytą skórkę cytryny na bruk. Roksi wzdrygnęła się. W porządku, zagrała śmierć w kartonie. Leciały jej z oczu prawdziwe łzy i kilku

członków ekipy także płakało. Umarła więc na ekranie, ale w prawdziwym życiu... w prawdziwym życiu wciąż trwała i jeszcze wypłynie na powierzchnię!

Włączyła radio. Potrzebowała stymulacji, czegoś, co ją wprowadzi w dobry nastrój. Przeskoczyła kilka stacji i na każdej grano świąteczne hity. Zemdlilo ją od wszystkich tych dzwonek i „radujmy się”. Festiwal hipokryzji. To nie amerykański film przecież, to jest życie, to jest Polska. Co druga rodzina skacze sobie do oczu nad barszczem i co drugie towarzystwo dzieli się przy wigilijnym stole na wrogie frakcje polityczne, z przytaczaniem mało merytorycznych argumentów.

Po namyśle Roksi zostawiła stację, na której grano *Last Christmas*. To nawet pasowało do jej nastroju. Nie dotyczyło wprawdzie jej perypetii miłosnych. Albo prawie nie dotyczyło. Bo przecież był ktoś, kiedyś. Przez chwilę. Może nie *last Christmas*, ale jakież *last last summer*. Tyle że on... nie, o nim nie mogła teraz myśleć. A kochasia z telenoweli nigdy nie traktowała poważnie, chodziło po prostu o to, że to on się nią znudził, a nie ona nim, a tego Roksi nigdy nie wybaczała. Jednak *Last Christmas* bardzo jej się podobało, bo wykonywał to facet, który mimo żalu do dawnej ukochanej zapowiada, że rusza dalej, więc było tak, jakby wiarołomnej kobiecie pokazywał środkowy palec. Ona też tak robi. Jeszcze im wszystkim pokaże. Teraz jednak powinna się zacząć pakować. Na dwa tygodnie do Miogrodu musi przecież zabrać mnóstwo ubrań. Dom w remoncie, pewnie wszędzie brudno, więc zestaw na dzień nie wystarczy. Do tego coś na wigilię, coś na to nieszczęsne przedstawienie jasełkowe,

coś dla starych matron, żeby miały o czym plotkować... Tak, to się może udać. Roksi przynajmniej czymś się zajmie, a przy okazji pomyśli, do kogo uderzyć w sprawie *Na dobre i na złe*. Zaczęła nawet śpiewać, kiedy zadzwonił telefon. Zmarszczyła brwi. Lucy? Dziwne, od dawna ograniczała się do esemesów.

– Co tam? – zapytała na powitanie.

– Cześć, Roksi. Wiem, że przyjeżdżasz dopiero za pięć dni, ale muszę ci powiedzieć, że zepsuło mi się auto i raczej w tym czasie go nie naprawię. W ogóle są wątpliwości, czy coś się da zrobić, a teraz nowego nie kupię.

– Teraz? Powinnas to zrobić już dawno temu.

– Nie każdy jest gwiazdą telenoweli.

Roksi przygryzła wargę. Odcinka z jej ekranową śmiercią jeszcze nie wyemitowano, ale w „światku” wszyscy już to wiedzieli i tylko czekać, aż napisze o tym Pudelek. Nie miała jednak wątpliwości, że Lucy Pudelka nie czytuje, więc nic na razie nie będzie wiedzieć. Roksi powie jej sama. Przedstawi to wszystko z szacunkiem dla siebie samej i brakiem szacunku dla kochasia i reszty ekipy.

– Tak – syknęła. – Nie każdy. Co z tym autem? Co to znaczy? Że przytelepię się na stację do miasta i ty po mnie nie przyjedziesz, tylko będę na ten nasz wygwizdów jechać jakimś zatęchłym miejscowym autobusem? Czy tak?

– Możesz też...

– Tak, mogę też po taksówkę zadzwonić. To chcesz powiedzieć? Zimną, bezduszną taksówkę, z zimnym bezdusznym kierowcą, no bo dlaczego miałyby mnie odebrać ze stacji

własna siostra! Nie tak się umawialiśmy! Myślałam, że zanim przekroczę próg, zdołamy zamienić ze sobą kilka słów, ja... ja... na pewno będę się denerwować...

– Czym?

– I wolałabym nie jechać do Mirogrodu z jakimś kompletnie obcym typem!

– Po prostu...

– Lucy, będę mieć bagaże!

– Jak każdy, kto wyjeżdża z domu na więcej niż dzień, choć okej, nie wątpię, że ty akurat weźmiesz ze sobą cały warszawski butik. Albo dwa! – odcięła się siostra.

Roksi musiała przyznać, że trochę jej to zaimponowało. Lucy pyskująca to była pewna nowość. Niemniej wizja jechania do Mirogrodu w zatęchłym miejscowym autobusie nie dawała jej spokoju.

– Co proponujesz? – zapytała na pozór ugodowo.

– Próbuję do tego przejść, tylko nie mogę się przebić przez twoje pretensje!

– Okej, okej. Dżizas. Do rzeczy.

– Odbierze cię ze stacji mój... znajomy.

– Twój... znajomy?

Robiło się ciekawie.

– No tak. Sam to zaproponował.

– Fajny?

– No cóż...

– Jak wygląda?

– Taka jedna... pani mówi, że trochę jak Thor.

– To ciekawe.

W słuchawce zapadła cisza, a po chwili dało się słyszeć ciężkie westchnienie.

– Skoro tak mówisz – wymamrotała Lucy.

Roksi już wiedziała, co się święci. Lucy zabujała się w tym Thorze, ale nie wydawała się cała w skowronkach, więc pewnie to miłość nieodwzajemniona. Kto wie? Może Roksi wcale nie będzie się nudzić w Mirogrodzie? Może właśnie wręcz przeciwnie?

– No dobra – powiedziała niedbale. – Niech po mnie przyjedzie ten twój znajomy.

Rozłączyła się i stanęła przed wielką szafą w garderobie. W co się ubrać na tę podróż? Na pewno będzie zimno. W Warszawie może nie, ale jak dojedzie do Mirogrodu na pewno. Tam zawsze jest zimno, a jak wiadomo, niskie temperatury nie sprzyjają elegancji. Roksi przesunęła ręką po długim ciemnym płaszczu z wcięciem w talii i wysokim kołnierzem. Ładnie podkreślał jej szczupłą sylwetkę...